

100-LECIE POZNAŃSKIEGO WYDZIAŁU PRAWA – WSPOMNIENIA BYŁYCH DZIEKANÓW

HENRYK OLSZEWSKI

Dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w latach 1975–1978

W STULECIE WYDZIAŁU PRAWA UAM

Wydział Prawa wieńczy sto lat swej misji, podobnie jak wchodzi w czas jubileuszowych obchodów cały Uniwersytet Poznański. Od początku tworzyły nierozłączną całość. Siódmego maja 1919 r. razem świętowały uroczystą inaugurację; dwa tygodnie później rozpoczęły się wykłady i seminaria. To dobra okazja, by próbować zebrać swoje wspomnienia o dziejach Wydziału. Uważam, że to nie tylko przywilej seniora, ale i jego powinność.

Prawda – nie uczestniczyłem przy narodzinach Wydziału, ale członkiem jego społeczności byłem przez bez mała 70 lat: wpierw jako student, kolejno jako: starszy asystent, adiunkt, docent, profesor, prodziekan, dziekan, delegat Wydziału we władzach Uczelni. Oczywiście zdarzało się, że przejściowo pracowałem na innych uczelniach czy na innych wydziałach macierzystego Uniwersytetu, ale nigdy na mej akademickiej drodze Uniwersytet w Poznaniu ani jego Wydział Prawa nie przestały być moim pierwszym, najważniejszym miejscem pracy. Słuchałem wykładów ojców założycieli UP i twórców Wydziału – profesorów Antoniego Peretiatkowicza, Alfreda Ohanowicza, Zygmunta Lisowskiego, Tadeusza Silnickiego, Józefa Górskiego i Józefa Bossowskiego. Byłem uczestnikiem seminariów u mistrzów, którzy przyszli na Wydział w latach dwudziestych i trzydziestych, profesorów Zygmunta Wojciechowskiego, Zdzisława Kaczmarczyka, Józefa Matuszewskiego i Michała Szczanieckiego. Jako student poznałem innych, którzy przeżyli wojnę i na Wydziale byli jego ostoją w latach totalitaryzmu i stalinowskiej indoktrynacji. Już w liceum to i owo wiedziałem o przeszłości Wydziału: o ludziach, wydarzeniach, obyczajach. Zainteresowanie to wzrosło w czasie spotkań z uniwersyteckimi kolegami, z którymi się zaprzyjaźniłem – rówieśnikami i nieco starszymi. To przede wszystkim Bogdan Lesiński, Witold Knoppek, Krzysztof Dembski i Kazimierz Kolańczyk – byli prawdziwą kopalnią wiedzy o przeszłości UP. Szczególnie pożyteczne okazały się moje studia na drugim stopniu w roku akademickim 1953/54 z zakresu historii prawa, kiedy to pisałem pracę magisterską na seminarium Zdzisława Kaczmarczyka, uczestniczyłem w pracach koła naukowego i miałem kontakt z Zygmuntem Wojciechowskim. Od początku marzyłem

o tym, by kiedyś być członkiem społeczności Wydziału, i byłem szczęśliwy, kiedy moje marzenie się ziściło.

Nie obyło się co prawda bez formalnych przeszkód, które o kilkanaście miesięcy moje zatrudnienie opóźniły. Po prostu nie było dla mnie etatu i profesorowie Wojciechowski i Kaczmarczyk skierowali mnie na nowo uruchomioną w Warszawie aspiranturę, odpowiednik dzisiejszych studiów doktoranckich. Odbywałem ją w Zakładzie Nauk Prawnych PAN, choć na co dzień mogłem pracować w macierzystym Zespole Katedr w Poznaniu, gdzie miałem swoje biurko, dostęp do regałów z książkami i swojego opiekuna naukowego, którym był prof. Kaczmarczyk. Samej aspirantury nie wspominam mile, gdyż przez rok musiałem dojeżdżać na seminarium z marksizmu, które prowadzili warszawscy filozofowie z Adamem Schaffem i Zygmuntem Baumanem z Instytutu Filozofii PAN na czele i które kończyło się mocno celebrowanym egzaminem przed wieloosobową komisją. Ponadto stypendium w wysokości 937 zł musiałem osobiście odbierać w kasie w Pałacu Staszica. Byłby to rok stracony, gdyby nie znakomite towarzystwo, w jakim się znalazłem. Na aspiranturze spotkałem bowiem wielu komilitonów, którzy wkrótce zostali gwiazdami polskiej humanistyki: Krystynę i Adama Kerstenów, Andrzeja Walickiego, Lecha Leciejewicza, Jerzego Jedlickiego. Z prawników poznałem wtedy Jana Olszewskiego, redaktora „Po Prostu” i późniejszego premiera rządu RP, oraz Jana Jończyka, który do stolicy dojeżdżał z Wrocławia. Naszą trójką formalnie opiekował się Jan Baszkiewicz, który jako młody docent w Zakładzie Nauk Prawnych PAN umożliwił nam kontakty z młodzieżą naukową Zakładu: Moniką-Senkowską, Andrzejem Ajnenkiele, Andrzejem Zakrzewskim (późniejszym autorem pionierskiej biografii Witosa i znaczącym politykiem w erze prezydentury Lecha Wałęsy). Poznałem też ludzi Uniwersytetu Warszawskiego: Aleksandra Gieysztora, Bogusława Leśnodorskiego, Władysława Sobocińskiego, Stanisława Russockiego, Henryka Kupiszewskiego, Michała Pietrzaka, a przede wszystkim – Juliusza Bardacha, który opiekował się mną po ojcowsku i nawet podjął kroki mające mnie po zakończeniu aspirantury zatrzymać w Warszawie.

Etat na UP zwolnił się dla mnie w styczniu 1956 r., a moje miejsce na aspiranturze w PAN zajął Witold Maisel, człowiek skromny, pracowity i zdolny, pasjonat historii kultury i prawa, który szybko się doktoryzował i stał się jedną ze znakomitości w środowisku historyków prawa. W sposób zatem zupełnie od siebie niezależny miałem swój udział w drodze życiowej tego uczonego.

Wróciłem więc z radością na stare śmieci, do poznańskich historyków prawa. Byłem starszym asystentem, najmłodszym pracownikiem w elitarnym środowisku znakomitego Wydziału. Historycy prawa stanowili w nim świetnie zorganizowaną wspólnotę. Trzy katedry: Historii Państwa i Prawa Polskiego, Powszechnej Historii Państwa i Prawa oraz Prawa Rzymskiego tworzyły Zespół Katedr Historii Państwa i Prawa, jedyną wtenczas taką strukturę na Wydziale. Czwarta katedra – marzenie Zygmunta Wojciechowskiego – historii prawodawstw słowiańskich – nie została utworzona, jako że ministerstwo nie zgadzało się, by jej kierownikiem został Józef Matuszewski. W późnych latach sześćdziesiątych przyłączona została – powstała z podziału schedy po Janie Rutkowskim – Katedra Historii Gospodarczej, kierowana przez Jerzego Topol-

skiego, a po jego przeniesieniu się na Wydział Filozoficzno-Historyczny – przez Janusza Deresiewicza.

Środowisko Poznania dominowało wtedy w badaniach historyczno-prawnych; było obok krakowskiego najsilniejsze w kraju. Prawda – nie było już najstarszych i najbardziej zasłużonych. W roku 1954 zmarł Marian Z. Jedlicki, mediewista, odważny uczestnik polsko-niemieckiego dialogu historiograficznego, wspaniały wykładowca, oddany rzecznik partnerskiej współpracy ze studentami. Władze uważnie mu się przypatrywały, ponieważ był ochotnikiem w wojnie z sowiecką Rosją w 1920 r. Rok później odeszli Zygmunt Wojciechowski i Zygmunt Lisowski. Pierwszy był charyzmatycznym przywódcą środowiska, twórcą szkoły naukowej, która głosiła, że wielkość państwa to Polska z granicami na Odrze i nad Bałtykiem. Profesor opowiadał w zaufanym gronie, pół żartem, pół serio, że za to gotów był przyjąć islam i wypić bruderszaft ze Stalinem. Nawet żarliwy katolicyzm, endecka przeszłość i udział w wojnie polsko-bolszewickiej nie były w stanie pozbawić go stanowisk i miru na Uczelni. Żaden z historyków w Poznaniu i nikt z prawników UP nie cieszył się przed wojną, w jej trakcie i w pierwszej dekadzie po niej większym autorytetem. Pogrzeb zgromadził tysiące ludzi i był imponującą manifestacją patriotyczną. Lisowski, jeden z ojców założycieli UP, dziekan i prodziekan oraz rektor sprzed wojny, znakomity prawnik, niezrównany tłumacz niemieckiego BGB, kilka lat powojennych spędził na przymusowej emeryturze. Znałem ich dobrze: Jedlicki prowadził świetne seminarium, był ceniony i sam się cenił; Wojciechowski był recenzentem mojej pracy magisterskiej, brał udział w dyskusji nad wstępnymi tezami mego doktoratu. Lisowski przyjmował mój egzamin z prawa rzymskiego, a był to osobliwy egzamin, gdyż na wszystkie pytania profesor sam odpowiadał, nie dopuszczając mnie do głosu, jakby w obawie, że będę plótł bzdury. Był bardzo nerwowy, ciężko doświadczony przeżyciami. Pożegnał mnie jednak przyjaźnie; pchnął indeks w moją stronę i powiedział: „Niech Pan już idzie. I niech Panu się zdaje, że jest Pan prawnikiem”. Wyjaśniam, że był to ostatni egzamin na trzyletnich studiach pierwszego stopnia, jaki zdawaliśmy już po odbyciu szkolenia wojskowego.

Odejście mistrzów sprawiło, że liderami środowiska zostali ich uczniowie, już znani i uznani, gotowi każdemu adeptowi do niesienia pomocy, ale zarazem nader wymagający. Zdzisław Kaczmarczyk uczył mnie abecadła warsztatu. U Józefa Matuszewskiego można było zdobyć podstawy nauk pomocniczych historii – średniowiecznej paleografii łacińskiej, heraldyki, genealogii, bibliografii i numizmatyki; Michał Szaniecki wprowadzał mnie do prac redakcyjnych; Kazimierz Kolańczyk ustalał granice obowiązków i swobód akademickich. Kolańczyk był znamienitym nauczycielem akademickim i organizatorem życia w zespole. Nagła jego śmierć w roku 1982 uprzytomniała mi potem wielokrotnie, jak wiele dobrego by zrobił, gdyby doczekał transformacji ustroju i użył pole do zapobiegania szerzącym się przejawom dezintegracji na Wydziale. Wiele zawdzięczam koleżankom i kolegom młodszego pokolenia. Podniety intelektualnie brały się z rozmów z Bogdanem Lesińskim, ostatnim wielkim przedstawicielem szkoły mediewistycznej na Wydziale i świetnym znawcą historii prawa i nauki, także tej na nim uprawianej. Był też dobrym nauczycielem

akademickim i prowadził interesujące seminarium, które dla kilkunastu osób stanowiło początek kariery akademickiej. Jego pierwszą uczennicą była Jolanta Kreń-Szostkiewicz, dziś profesor zwyczajny na uniwersytecie w szwajcarskim Bernie, w 2018 r. wysunięta na członka zagranicznego Polskiej Akademii Umiejętności. Wiele inspiracji dawały dyskusje z Krzysztofem Dembskim, Witoldem Knoppkiem i Władysławem Rozwadowskim, z którymi byłem zaprzyjaźniony, w pewnym stopniu także z Zofią Kulejewską-Topolską. Byliśmy pożądanym adresem dla stażystów z całej Polski. Niektórzy zaszli daleko, przekroczyli barierę naukowej samodzielności; pamiętam Krystynę Kamińską i Danutę Janicką z UMK, Jadwigę Markiewicz i Jarosława Kostruba z UMCS oraz Witolda Dmowskiego z Uniwersytetu Gdańskiego.

Zaraz po obronie doktoratu nadarzyła mi się okazja do poznania wielu uczonych o znanych nazwiskach i wielkiej osobowości, którzy byli znawcami prawa obowiązującego. Jesienią 1959 r. zostałem przeniesiony z Zespołu Katedr Historii Państwa i Prawa do Katedry Teorii Państwa i Prawa. Moim zadaniem było prowadzenie wykładu z historii doktryn politycznych i prawnych, napisanie podręcznika z tego przedmiotu i przygotowanie gruntu pod katedrę o tej nazwie. Zadanie trudne, ale wykonalne i pożyteczne. Poznałem bliżej wybitnych ludzi, z którymi miały mnie w niedalekiej przyszłości połączyć więzy trwałej współpracy. Profesor Czesław Znamierowski przygotowywał się do przejścia na emeryturę i nie poświęcał mi większej uwagi. Kontakt z nim był dość osobliwy, ale miał ten walor, że przeczytałem najważniejsze jego książki. Jego następcą na stanowisku kierownika Katedry został nie doc. Zygmunt Ziemiński, jak się powszechnie spodziewano, ale Adam Łopatka, ponoć za chronienie mistrza przed przymusowym wydaleniem z Uniwersytetu w latach 1950–1955. Dał się zresztą poznać jako sprawny organizator, w latach sześćdziesiątych prodziekan i dziekan Wydziału. Zygmunt Ziemiński został kierownikiem nowo powołanego Zakładu Praktycznych Zastosowań Logiki i stworzył największe i z pewnością najlepsze w historii Wydziału seminarium, którego członkami byli m.in. wybitni uczeni: Leszek Nowak, Maciej Zieliński, Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz, Stanisław Czepita, Wojciech Patryas, Kazimierz Świrydowicz i cała plejada innych, którzy zostali profesorami innych specjalności, często na innych uczelniach. Wśród uczniów Zygmunta Ziemińskiego brylowali Leszek Nowak i Maciej Zieliński. Pierwszy był czołowym polskim filozofem, chlubą Wydziału Nauk Społecznych UAM, drugi – wybitnym teoretykiem prawa, redaktorem RPEiS, autorem m.in. fundamentalnej monografii *Wykładnia prawa. Zasady. Reguły. Wskazówki* (2002) Wykształcił znakomitych uczniów, wśród nich Marka Smolaka, oraz stworzył silne środowisko teoretyków prawa na Uniwersytecie Szczecińskim. Jest doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego.

W 1968 r. podstawową strukturą Wydziału stały się instytuty, w których połączyły się katedry o zbliżonej tematyce badań i nauczania. Katedra Teorii Państwa i Prawa znalazła się w Instytucie Nauk Prawno-Ustrojowych, obok Katedry Prawa Międzynarodowego Publicznego, Prawa Państwowego, świeżo powołanej Katedry Historii Doktryn Politycznych i Prawnych (ze mną w roli jej kierownika) oraz Zakładu Prawniczych Zastosowań Logiki. Był to dość przypad-

kowy zlepek osób i dyscyplin, w którym najsprawniej działała – jakkolwiek by to zabrzmiało – administracja INPU. Wielu z nas żyło pracą badawczą i potencjał naukowy większości pracowników wzrastał. Mam tu na myśli przede wszystkim Annę Michalską, która mimo nękającej ją choroby publikowała jedną pracę za drugą. Natomiast atmosfera i współpraca pozostawiały niejedno do życzenia. Ich wyrazem było skreślenie z listy pracowników naukowych Uniwersytetu prof. Krzysztofa Skubiszewskiego i dr Hanny Suchockiej oraz pozbawienie prof. Karola Mariana Pospieszalskiego stanowiska kierownika Katedry Prawa Państwowego – jego miejsce zajął sprowadzony z UMCS doc. Feliks Siemieński. Dziekan Zbigniew Radwański miał nadzieję, że powołanie mnie na stanowisko kierownicze w Instytucie osłabi animozje i konflikty, ale to się tylko w niewielkiej mierze udało. Zyskałem tyle, że coraz lepiej poznawałem ludzi i coraz głębiej wnikałem w tkanki wydziałowego życia.

Z zainteresowaniem i satysfakcją obserwowałem swoich starszych i młodszych komilitonów z katedr uprawiających badania nad prawem obowiązującym. Imponowali cywiliści. Był to czas, w którym na posiedzeniach naukowych Wydziału spotykały się osoby kilku generacji w tej dyscyplinie: seniorzy z Alfredem Ohanowiczem i Józefem Górskim, absolwenci lat trzydziestych – Witalis Ludwiczak, Zygmunt Konrad Nowakowski, Edmund Wengerek oraz ci, którzy studiowali i rozpoczynali karierę naukową po wojnie – Zbigniew Radwański, Jerzy Fabian, Józef Sobkowski, Mieczysław Tyczka, wreszcie ci najmłodsi, a już mający za sobą pierwsze sukcesy – Stanisław Sołtysiński, Marian Kępiński, Andrzej Koch, Feliks Zedler, Tadeusz Smoczyński, Adam Olejniczak, Jacek Napierała, Leopold Moskwa i Aurelia Nowicka. U cywilistów – pamiętam dobrze – nieraz iskrzyło; niektórzy mistrzowie mieli gorące głowy i dobrze się czuli w czasie ostrej wymiany argumentów. Czupurnie spierano się o różne sprawy, o to np., kto jest czyim mistrzem, o zasługi w przeszłości, o podział zajęć, ale w kwestiach zasadniczych zawierano rozejm i zgodnie współpracowano. Zbyt wielkie emocje studził Ohanowicz i Radwański. Spokój wypływał z autorytetu, jakiego zażywała poznańska cywilistyka jako nauka.

U karnistów było nieco inaczej. Po śmierci Józefa Bossowskiego w roku 1957 katedrami penalistyki wstrząsały konflikty, które miały różne źródła, różny przebieg i z reguły rozlewały się na zewnątrz. Nie tylko o sukcesję po mistrzu chodziło. Do katedr prawa karnego (materialnego i procesowego) władze kierowały prawników o nietypowej drodze naukowej: mgr Adolf Dąb, odwołany z Warszawy adwokat, był długie lata kierownikiem Katedry Postępowania Karnego, dr Jan Haber przyszedł na jego miejsce po usunięciu go z grona sędziów Sądu Najwyższego; pojawił się też doc. Jerzy Radzicki, właściwie nie wiadomo, skąd i z jakim przesłaniem. Żaden z nich nie miał wymaganego dorobku, ale wszyscy mieli wygórowane ambicje i chętnie angażowali się w spory. Podobnie władcze zapędy wykazywał Tadeusz Cyprian, człowiek utalentowany o barwnym życiorysie, autor licznych książek, ustosunkowany, który przez rok był nawet dziekanem. Podziały w Instytucie Prawa Karnego objęły także młodych pracowników, docentów i doktorów. Przycichły dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy dziekan zagroził sprowadzeniem na kierownika Katedry profesora Jerzego Śliwowskiego z UMK.

Z uczonymi z katedr, które tworzyły Instytut Prawa Administracyjnego i Nauki Administracji, miałem długo luźniejszy kontakt. Podziały wewnętrzne nie ominęły i społeczności tego Instytutu, choć były one raczej skrywane. W obiegowej opinii jedną grupę tworzyli profesorowie Marian Zimmermann i Zbigniew Janowicz, z którymi sympatyzowała doc. Teresa Rabska, drugiej przewodzili docenci Wiktor Pawlak i Zbigniew Leoński. Obie bacznie przypatrywały się Witoldowi Dąbrowskiemu, który był badaczem ambitnym i utalentowanym, po habilitacji i partyjnym, chyba groźnym konkurentem na przyszłość. Autonomicznie i ciekawiej toczyło się życie w Katedrze Prawa Finansowego, kierowanej przez Jana Zdzitowieckiego, a po jego śmierci w 1975 r. kolejno przez profesorów Andrzeja Komara i Wojciecha Łączkowskiego. Poza nimi w pracy badawczej wyróżniali się profesorowie Jerzy Małecki i Andrzej Gomulowicz, mniej korzystnie wypadali – Antoni Roga (który pracę badawczą traktował chyba jako drugorzędną) i Eryk Wojciechowski (do którego miałem żal, że nie chciał udostępnić badaczom cennej – jak sądziłem i nadal sądzę – spuścizny po prof. Zdzitowieckim, przez szereg lat – jak wiadomo – sekretarzu Romana Dmowskiego).

Mniej znaczącą rolę w życiu Wydziału grali uczeni skupieni w Katedrze Nauk Ekonomicznych oraz w Instytucie Nauk Politycznych. „Ekonomiści” byli zawalenii działalnością dydaktyczną na rzecz wszystkich wydziałów UAM i z trudem przekraczali próg samodzielności naukowej, habilitując się zresztą w Wyższej Szkole Ekonomicznej (obecnym Uniwersytecie Ekonomicznym). Kierowali Katedrą profesorowie dochodzący względnie dojeżdżający: Seweryn Kruszczyński, Wacław Radkiewicz i Dymitr Sokołow. Dopiero na przełomie stuleci kierownictwo objęli kolejno wychowankowie Wydziału, czyli profesorowie Kazimierz Oryl, Edward Cyrson i Mieczysław Gulcz, a po przejściu tego ostatniego na emeryturę – prof. Elżbieta Jantoń-Drozdowska. W Katedrze roilo się od sympatycznej młodzieży. Z Kazimierzem Orylem i Mieczysławem Gulczem połączyły mnie więzy serdecznej przyjaźni. Instytut Nauk Politycznych utworzony został w końcu lat sześćdziesiątych, był afiliowany przy Wydziale, ale po przeniesieniu się Adama Łopatki do Warszawy uzyskał status samodzielnej jednostki na Wydziale Nauk Społecznych UAM, by ostatecznie stać się podstawową jednostką nowo utworzonego Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa.

Powyższy przegląd kadry Wydziału – pobieżny i wybiórczy, wyrażający moje subiektywne odczucia, kreślony z kilkudziesięcioletniej perspektywy czasowej – świadczy przecież o jego sile i dużym potencjale. Stanowiliśmy zwartą wspólnotę i potrafiliśmy się jednoczyć w trudnych chwilach. A przecież pod niejednym względem się różniliśmy. Byliśmy mozaiką pokoleń, wśród naszych mistrzów wciąż żyli profesorowie związani z Wydziałem przed wojną; kult tradycji był bardziej eksponowany, bardziej autentyczny niż dziś. Mieliśmy świadomość, że akademickie środowisko to wspólnota zbudowana na osobistym autorytecie, ale i na hierarchii stopni i tytułów. Szanowaliśmy to i znaliśmy swoje miejsce w szeregu. Oczywiście dzieliły nas poglądy i postawy; polityka nie zawieszala swego działania przed murami Wydziału. Utrudniała otwartość postaw, ale nie niszczyła wspólnoty. Konflikty się pojawiały, ale z reguły

udawało się kłaść im kres, zanim zdążyły wydać wszystkie gorzkie owoce. Wydział był mocno upartyjniony, ale takich prawdziwych „komuchów” było chyba zaledwie kilku. Można było z ich destrukcyjnymi działaniami skutecznie walczyć, także siłami partyjnej większości. W rezultacie długo zagrożeni wydaleniem z uczelni profesorowie – Marian Zimmermann, Krzysztof Skubiszewski, Zbigniew Janowicz i Karol Marian Pospieszalski, uznawani przez Wydział Nauki KW PZPR za „grupę antypartyjną” – mogli na Wydziale pozostać. Sprawę pamiętam dobrze, w latach 1966–1968 pełniłem bowiem funkcję I sekretarza KU PZPR. Opuścili Wydział Krzysztof Skubiszewski i Hanna Suchocka – wspominałem już o tym wyżej – ale w innych okolicznościach, i to znacznie później.

Po 1956 r. Wydział szybko się rozwijał. Ustawa z 1958 r. znosiła niektóre patologie okresu stalinowskiego i przywracała namiastkę autonomii. Powstały studia eksternistyczne i zaoczne, dwustopniowe studia administracyjne, wprowadzono punkty konsultacyjne w miastach Polski zachodnio-północnej. Zaczęto reformować program studiów, ograniczano – jak dalece to było możliwe – obecność w nim przedmiotów ideologicznych. Przywrócono stare drogi zdobywania stopni naukowych, dziekana wybierała Rada Wydziału. Było wielkim sukcesem Rady, że nieraz udało się wbrew naciskom politycznym wybrać znakomitych dziekanów. Za takich uznaję Kazimierza Kolańczyka, który piastował ten urząd w latach 1956–1959 i kilkakrotnie był prodziekanem, oraz Zbigniewa Radwańskiego, dziekana przez dwie kadencje (1966–1972). Obaj świetnie współpracowali z Radą Wydziału, która wtenczas stanowiła forum niezwykle twórcze, podejmując nie tylko sprawy wymagające głosowania, ale także sprawy merytoryczne, ważne i trudne. Byłem przez parę lat protokolantem Rady oraz delegatem do niej tzw. pomocniczych pracowników nauki, zanim zostałem jej rzeczywistym członkiem, i z szacunkiem myślę o jej ówczesnej aktywności. Rada wiele uwagi poświęcała sprawom personalnym, z wielką powagą uczestniczyła w przewodach doktorskich i habilitacyjnych, z troską zajmowała się rozwojem młodzieży naukowej, poddawała wnikliwej analizie sprawozdania kierowników katedr i dyrektorów instytutów, pilnowała rzetelności w treści protokołów posiedzeń. Profesorowie przychodzili do sekretariatu, czytali protokoły i zgłaszali poprawki. Również referaty o stanie poszczególnych studiów i oceny pracy w zamiejscowych punktach konsultacyjnych nie były formalnością. Posiedzenia Rady trwały z reguły wiele godzin, przy czym najwięcej czasu zabierały nie głosowania, a dyskusje, czasami przewlekłe, niekiedy pełne temperamentu, ale prawie zawsze dyktowane dobrem wspólnoty wydziałowej. Mimo że miejsce obrad – była nim niewielka salka nr 121 na pierwszym piętrze Collegium Iuridicum – nie oferowało nadmiaru komfortu, obecność prawie zawsze była bliska stuprocentowej. Nie pamiętam, by dziekani musieli obawiać się o *quorum*.

Oczywiście życie na Wydziale tętniło również mniej oficjalnym rytmem. Wiele spraw miało wymiar osobisty, towarzyski, wiele rozgrywało się z dala od nas, w kularach i swobodnej wymianie poglądów. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych najliczniejszą grupą na Wydziale byli adiunkci i docenci urodzeni w latach trzydziestych, którzy studia ukończyli i pierwsze stopnie i tytuły zdobyli po wojnie. Byliśmy różni i mieliśmy różne

zainteresowania, Uniwersytet (Wydział) był nie tylko naszym jedynym miejscem pracy – był drugim domem. Po przeprowadzeniu obowiązkowych zajęć szliśmy do klubu profesorskiego, który mieścił się na pierwszym piętrze w Collegium Minus i oferował kawę po turecku, sałatki warzywne, kielbasę śląską i ciastka. Ale nie konsumpcja była celem naszych spotkań. I nie trzeba było się umawiać na te spotkania, tam po prostu trzeba było przyjść. Klub był klubem dyskusyjnym; dyskutowaliśmy o wszystkim: o samochodach, polityce, piłce nożnej, o kinie, ale przede wszystkim o tym, co się działo na Wydziale. Można też powiedzieć, że w klubowych debatach dojrzewała niejedna cenna idea: marzyliśmy o państwie prawa, rodziła się krytyka życia publicznego. Jak karierę robił niejeden dobry dowcip i niejedna dobra anegdota, tak „obgadany” został niejeden temat rozprawy i poddany został ocenie niejeden przewód, który się akurat odbył. Klub wzbogacał nie tylko nasze poczucie wzajemnych więzi, ale i naszą wiedzę. Tak było również dlatego, że przy stolikach stałymi bywalcami byli profesorowie. Ci, którzy nie przychodzili, uchodzili za odludków. Podczas klubowych debat wykuwała się i utrzymywała zwartość ludzi Wydziału.

Inną cechą charakteryzującą codzienność Wydziału lat sześćdziesiątych było jego otwieranie się na zewnątrz. Nie był już korporacją najemników świadczących edukacyjne usługi. Zaczęliśmy wyjeżdżać na staże, sympozja, konferencje międzynarodowe, przyjeżdżali do nas znani uczeni z krajów zachodnich. Pamiętam relacje, jakie wracający z zagranicy stypendyści – Skubiszewski, Radwański, Rozwadowski, Sołtysiński i inni – składali nam oficjalnie i nieoficjalnie o pożytkach płynących z tych pobytów. Przekonywali nas własnym przykładem, że współpraca z nauką światową przyspiesza naukowy rozwój.

Byłem szczęściarzem, któremu się udało – sędzę, że we właściwym momencie drogi zawodowej – prowadzić badania i nawiązać bliski kontakt z wielkimi uczonymi. W roku 1961 (już po opublikowaniu doktoratu) mogłem wyjechać na kilkumiesięczny staż na Uniwersytet Jagielloński i uczestniczyć w seminariach luminarzy krakowskiej humanistyki: profesorów Konstantego Grzybowskiego, Marii Boruckiej-Arctowej i Marka Sobolewskiego, oraz prowadzić długie rozmowy ze Stanisławem Grodziskim, Ludwikiem Łysiakiem, Stanisławem Płazą, z czasem również z Wacławem Uruszczakiem. W krakowskich kwerehendach i dyskusjach rodziła się moja praca habilitacyjna.

Osiem lat później – w roku 1969 – zostałem powołany na prodziekana w ekipie profesora Zbigniewa Radwańskiego. Moim zadaniem jako kierownika Studium Zaocznego Prawa było uporządkowanie spraw studenckich, które poprzednicy trochę zaniedbali. Dzięki pomocy Bogdana Lesińskiego, który był moim zastępcą, skreśliliśmy – w pełnej zgodzie z regulaminem – blisko połowę z kilkutysięcznej liczby studiujących (ściślej – zapisanych na studia). Prorektor do spraw studenckich, który zatwierdzał wnioski o skreślenie, nie mógł na mnie patrzeć, podobnie jak wielu skreślonych „studiujących”. Natomiast Rada Wydziału przyjęła mój raport z zaskoczeniem i zrozumieniem, ale chyba bez wiary w skuteczność naszych działań. Faktycznie przyszło mi płacić za nieprawomyślność, ponieważ ministerstwo zablokowało mi przyjęcie dwuletniego stypendium badawczego, które przyznała mi zachodnioniemiecka Fundacja

im. Aleksandra von Humboldta. Wyjechałem dopiero jesienią 1973 r. dzięki życzliwej pomocy Zbigniewa Radwańskiego i naciskom strony niemieckiej.

Pobyt w Niemczech zachodnich stanowił prawdziwy przełom w moim życiu zawodowym. Znalazłem się we wspaniałym środowisku, jakim okazał się sławny Instytut Historii Współczesnej (Institut für Zeitgeschichte) w Monachium. Poznałem wielkich uczonych i przyjaznych ludzi. Uzyskałem dostęp do źródeł, jakich w Polsce nie było. Zmieniłem swoje priorytety badawcze: zająłem się historią Niemiec w XIX i XX w., strukturami społecznymi, polityką i ideologią, które przepoczwarzyły Niemcy w państwo Hitlera, a większość społeczeństwa w nazistów. Pracowałem tak intensywnie, że zapadłem na zdrowiu i przez kilka tygodni leczyłem się z zawału serca. Otrzymywałem w klinice korespondencję, która przyspieszała proces rehabilitacji. Przychodziły listy od pracowników Wydziału; pisali prawie wszyscy: moi mistrzowie i koledzy, także ci, z którymi nie posiadałem bliższego codziennego kontaktu. Wszyscy życzyli mi zdrowia i rychłego powrotu. Dziekan Władysław Pawlak zawiadamiał, że pod moją nieobecność kolegium dziekańskie powzięło myśl o wszczęciu procedur o unadzwyczajnienie. Wszystko to podnosiło na duchu, ale wróciłem do kraju już jesienią 1974 r., albowiem rektor UAM nie wyraził zgody na przedłużenie pobytu. Wkrótce zaproszono mnie do szeregu długich, ważnych, ale i deprymujących rozmów, z których wynikało, że na Wydziale sprawy nie idą w dobrym kierunku, że działają grupy interesów, nad którymi kierownictwo nie panuje, że pojawia się presja z zewnątrz, że nad Wydziałem unosi się groźba głębszych podziałów. Przekonywano mnie, że mogę niebezpiecznym wyzwaniom stawić czoła: bo jestem członkiem partii, bo dawałem dowody przywiązania do Wydziału, bo jestem w dobrym miejscu na szlaku naukowego rozwoju, mam doświadczenie i kontakty w środowisku itp. Mój opór był słaby, więc wkrótce rektor wręczył mi podpisaną przez ministra nominację na dziekana na kadencję 1975–1978.

Przygotowywałem się do objęcia funkcji przez całe lato: studiowałem akty prawne, dokumentację po poprzednikach, kroniki UAM. I ustalałem w myślach swoje priorytety i przymierzałem do nich ludzi. Po dyskusjach uzyskałem dla nich akceptację swoich przyszłych komilitonów. Także inauguracyjna Rada Wydziału, w obecności rektora, przyjęła program bardzo życzliwie, ale z oklasków przebijało chyba tyle akceptacji, ile niewiary.

Podstawy i kierunki działań dziekańskich charakteryzowałem w swoim sprawozdaniu z historii Katedry Doktryn Polityczno-Prawnych i Filozofii, opublikowanym w Księdze jubileuszowej wydanej z okazji stu lat dziejów Wydziału¹. Niektóre tezy tego sprawozdania cytuję tu *in extenso*, inne podaję w skrócie, jeszcze inne trochę poszerzam. Powtórzę więc, że u punktu wyjścia moich zamierzeń tkwiło mocne przeświadczenie, że Wydział ma ogromny potencjał kadrowy i we wszystkich specjalnościach przekracza średnią krajową, a w szeregu dyscyplin zajmuje czołowe miejsce. Ale równie głębokie było moje przekonanie, że jest on jak nigdy przedtem podzielony. Był w dalszym ciągu mozaiką pokoleniową. Pracowali na nim wciąż starzy mistrzowie z przedwo-

¹ Olszewski (2019): 103–105.

jennym stażem, znani badacze i wrażliwi ludzie, z reguły o mocnym *ego*, wszyscy autentycznie przywiązani do tradycyjnych wartości. Oczekiwali oni mojego wsparcia. A obok dojrzewało pokolenie profesorów i docentów, którzy na drogę naukową weszli po wojnie i którzy patrzyli na świat nowymi oczyma, czasami nader ambitnie. Tej starej jak świat hierarchii nie zamierzałem burzyć, raczej ją wspierać. Młodzi mieli dołączyć do starych, uczyć się od nich, zbliżyć powoli, ale systematycznie do mistrzostwa. Drugi podział był rezultatem różnych zapatrywań na bieżącą politykę. Nie posiadał charakteru światopoglądowego, miał wymiar etyczny, indywidualistyczny, materialny, czasami wręcz pozorowany. Przecież takich prawdziwych komunistów można było policzyć na palcach jednej ręki. Tu mądre i rzetelne działania dziekana mogły skutecznie redukować tendencje dezintegrujące. Dewizą nowych władz Wydziału musiało zatem być szukanie jednej drogi dla wspólnego dobra, którym mogło być tylko dobro Wydziału jako wspólnoty mistrzów i uczniów. Dla sukcesu na tej drodze musiałem mieć po swojej stronie jak najwięcej sojuszników, którymi koniecznie powinni być przede wszystkim najbliżsi współpracownicy.

Miałem szczęście, że udało mi się skupić wokół tego celu najbliższych. Prodziekanami zostali Wojciech Łączkowski, Teresa Rabska i Kazimierz Oryl, kierownikami studiów administracyjnych byli Stanisław Stachowiak i Janusz Romul. Do kolegium dziekańskiego wchodził też Maciej Zieliński jako szef wydziałowej organizacji Związku Nauczycielstwa Polskiego i Kazimierz Dobrzański jako sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej. Wojciech Łączkowski mądrze kierował młodzieżą studiującą stacjonarnie. Nie przypominam sobie, bym choć raz musiał rozpatrywać jakieś odwołania od jego decyzji. Był autorem ciekawych pomysłów, które wdrażaliśmy, jak dalece to było możliwe. Teresa była wzorem pracowitości, niezawodna w zwalczaniu narastającej na uczelni biurokracji. Miała świetne kontakty z władzami miasta i województwa. Kazimierz Oryl, mający w swej pieczy studentów zaocznych, był mistrzem w odmownym załatwianiu spraw tzw. protekcyjnych, których ilość w drugiej części kadencji wyraźnie zmalała. Stanisław Stachowiak i Janusz Romul dbali o stan dydaktyki na kierunku administracja. Maciej Zieliński świetnie wywiązywał się ze swoich obowiązków na polu spraw bytowych, organizował nasz czas wolny i był wszędzie tam, gdzie trzeba było komuś pomóc. Wreszcie Kazimierz Dobrzański zabezpieczał nasze tyły, umożliwiając nam pewien dystans wobec przedstawicieli partyjnego betonu. Prawie wszyscy byliśmy młodymi lub starszymi docentami i wszyscy lojalnie ze sobą współpracowaliśmy, o czym jeszcze dziś myślę z wdzięcznością i wzruszeniem. Byli utalentowani, pracowici i wierzyli w Wydział jako wspólnotę, która stanowi przeciwieństwo „korporacji najemników świadczącej usługi edukacyjne”.

Pracowaliśmy przy otwartej kurtynie, odbudowywaliśmy zerwane i naderwane więzi, szukaliśmy prostszych dróg awansu dla pracowników: promowaliśmy ich aktualne publikacje. Co tydzień odbywało się kolegium dziekańskie, co dwa tygodnie spotykaliśmy się z kierownikami katedr, co miesiąc odbywało się posiedzenie Rady Wydziału. Rada nie była w żadnym stopniu maszynką do głosowania, co przedtem i potem nieraz się zdarzało, była – powtarzam to – forum czasami burzliwych, ale prawie zawsze merytorycznych dyskusji,

w których iskrzyło impulsami. Rada aktywnie uczestniczyła w rozstrzyganiu najtrudniejszych spraw, których przecież nie brakowało. Inicjowaliśmy co prawda różne kadłubowe narady w różnych sprawach, najczęściej natury personalnej, te bowiem wymagały największej delikatności. Ostateczny rezultat pozostawialiśmy jednak plenarnemu posiedzeniu Rady.

Często zastanawialiśmy się, jak najlepiej okazać szacunek naszym mistrzom i nestorom, jak umilić im czas przechodzenia na emeryturę. Sam długo byłem zwolennikiem rozwiązania, z jakim spotkałem się w Niemczech. Tam kończący służbę uczony spotykał się ze społecznością Wydziału i zaproszonymi gośćmi, wysłuchiwał laudacji i wygłaszał pożegnalny wykład (*Abschiedsvorlesung*), z reguły merytoryczny i z zakresu uprawianej dyscypliny. Uroczystość kończyła się spotkaniem towarzyskim, jeżeli pogoda na to pozwalała – na świeżym powietrzu. To jest starą niemiecką tradycją. Myśmy potraktowali to nieco inaczej i organizowaliśmy jubileusze, kiedy nestorzy kończyli 65 rok życia; wybieraliśmy ten rok, gdyż nie oznaczał on jeszcze zegnania się jubilata z Uniwersytetem; przeciwnie – był zenitem naukowej chwały i dobrej z reguły formy fizycznej. Profesorowie Zygmunt K. Nowakowski, Zdzisław Kaczmarczyk, Alfons Klafkowski i Wiktor Jaśkiewicz wydawali się rzeczywiście usatysfakcjonowani formą, w jakiej wyrażono im uznanie za wieloletni trud. Cieszył się na swój jubileusz wielce zasłużony dla Wydziału prof. Edmund Wengerek, ale nieoczekiwanie – w maju 1978 r. – zmarł. Zachował się też w pamięci uroczysty obiad, na który zapraszał dziekan do Bazaru na cześć przenoszącego się do Warszawy prof. Michała Sczanieckiego. Szczególnie podniosły charakter miała uroczystość poświęcona uczczeniu prof. Alfreda Ohanowicza z okazji 90. rocznicy urodzin. Niektórzy jubilaci otrzymali księgi pamiątkowe. Jedne przygotowywałem sam (dla Alfonsa Klafkowskiego i Jerzego Walachowicza), inne we współpracy (dla Teresy Rabskiej z Bożeną Popowską, dla Witolda Maisla z Ewą Borkowską-Bagieńską).

Sporym sukcesem było, że udało się zlikwidować instytucję tzw. marco- wych docentów, wszyscy oni do 1978 r. zdążyli się habilitować, niektórzy na podstawie cennych monografii. Rolę symbolu siły Wydziału odegrało przyznanie prof. Alfonsowi Klafkowskiemu Nagrody Państwowej I Stopnia za twórczość z zakresu prawa międzynarodowego publicznego. Przywróciliśmy olimpiady historyczno-prawne, które w latach pięćdziesiątych organizował prof. Michał Sczaniecki, wprowadziliśmy konkursy na najlepsze prace magisterskie. Nie zapominaliśmy o ważnych zdarzeniach w życiu pracowników administracji i obsługi. Uporządkowaliśmy nieco naszą wydziałową bibliotekę, wprowadzając nadzór nad zakupem książek przez komisję, której przewodniczył prof. Witalis Ludwiczak. Przez jakiś czas funkcjonowała uruchomiona naszym staraniem kawiarenka „Nora” w podziemiu Collegium Iuridicum, miejsce, w którym chętnie spotykali się nie tylko studenci, ale i pracownicy naukowci. W tym czasie Wydział zaczęli wizytować profesorowie zachodnich uczelni, a nasi pracownicy wyjeżdżać na Zachód. W mojej pamięci odcisnęła się wielka wyprawa naukowa z roku 1976 do Jugosławii, której przewodniczyłem i w której uczestniczyli też profesorowie Instytutu Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk. Również my organizowaliśmy konferencje międzynarodowe.

W innym miejscu wspominam, jaką rolę odegrała konferencja w 1977 r. poświęcona wpływowi rewolucji październikowej w ZSRR na konstytucjonalizm Europy – zaproszeni zostali na nią prawnicy z krajów, z którymi Uniwersytet im. Adama Mickiewicza podpisał umowy o przyjaźni i współpracy w nauce. Konferencja wykazała kolosalną dominację uczonych polskich w traktowaniu historii współczesnej. Wydarzeniem był Wielki Bal Wydziału, który odbył się 30 stycznia 1976 r. w Sali Malinowej pałacu Działyńskich. W jego przygotowaniach brało udział kilkadziesiąt osób; wolontariuszy i entuzjastów; niektórzy angażowali w nie całe swoje rodziny. W samym balu, na który zaprosiliśmy także władze rektorskie i wszystkich dziekanów UAM, uczestniczyło ponad dwieście osób, które wspaniale się bawiły. Idea balowania pozostała żywa do końca lat siedemdziesiątych, potem wydarzenia lat transformacji ustroju, która objęła również życie akademickie, wyparły bale. Po prostu straciły one znaczenie. Ich namiastką pozostał piknik organizowany do dziś przez dziekanów w ogrodach Uniwersytetu.

W sierpniu 1978 r. kończyło się moje urzędowanie jako dziekana. Opuszczałem swoje biurko z poczuciem, że miałem skromny udział w usuwaniu niedoskonałości na powierzonym mi stanowisku, ale z ulgą. Zarządzanie to jednak nie moja specjalność. Mogłem wreszcie, po trzech latach przerwy, powrócić do badań, a właściwie – w pierwszej kolejności – do publikowania zebranego wcześniej materiału. W ostatnich dwóch dekadach ubiegłego stulecia bibliografia moich wydrukowanych prac się wydłużyła. I były to zarówno teksty o „problemie niemieckim”, jak i opracowania z zakresu historii ustroju Polski oraz dziejów nauki. Za osiągnięcia badawcze zostałem przez Prezydium PAN wyróżniony Medalem Balzera. Coraz bardziej fascynowała mnie biografistyka. W pracy Wydziału grałem role drugo- i trzeciorzędne, które sprowadzały się do wykonywania zwyczajnych obowiązków nauczyciela akademickiego i kierownika Katedry oraz uczestnictwa w posiedzeniach Rady Wydziału. Byłem aktywny przy powstawaniu Viadriny i Collegium Polonicum w Ślubicach, wykladałem tam jako profesor gościnny, i nawet uzyskałem doktorat *honoris causa*. Przez jakiś czas miałem też etat na Uniwersytecie Szczecińskim. Dużo serca wkładałem w redagowanie „Czasopisma Prawno-Historycznego”, które od 1991 r. wydawał Wydział. Sporo czasu spędziłem za granicą, w Niemczech najwięcej, ale także w Szwecji, Japonii, Szwajcarii i we Włoszech. Przeżywałem wraz z innymi przebieg transformacji ustrojowej, pierwszej Solidarności i podziwiałem sprawność moich następców na stanowisku dziekana. Większość z nich – myślę o Stanisławie Sołtysińskim, Władysławie Rozwadowskim, Andrzej Zielińskim, Andrzej J. Szwarcu i Tomaszu Sokołowskim – doskonale sobie radziła w trudnych, przełomowych czasach, kiedy w szczególnej cenie pozostawały odwaga, rozważa, dynamika i dalekowzroczność.

W roku 2002 przeszedłem na emeryturę, zachowując jednak status profesora w ¼ etatu, jako redaktor „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Moja aktywność jako „ćwierćemeryta” przeniosła się na inne obszary i do uczelni prywatnych. Przez 8 lat byłem członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni Naukowych i Tytułu Naukowego. Ale i macierzysty Uniwersytet o mnie pamiętał. Przez 12 lat byłem członkiem Konwentu Godności Honorowych przy Rektorze UAM.

Byłem honorowany i odznaczany, grubo powyżej faktycznych zasług. W roku 2010 Uniwersytet Jagielloński nadał mi godność doktora *honoris causa*, w latach 2013–2018 z inicjatywy Wydziału i osobiście dziekana prof. Romana Budzinowskiego otrzymałem najwyższe odznaczenia Uniwersytetu oraz odnowiono mój doktorat z 1959 r.

Dziś jestem człowiekiem wolnym, pozbawionym styczności z dydaktyką, ale nie porzuciłem jeszcze pióra i utrzymuję ograniczony kontakt ze środowiskiem. Z wielką uwagą obserwuję to, co dzieje się na „moim” Wydziale. Impонуje mi rozmach, robią wrażenie różne liczby, irytują parametryzacje i ewaluacje, niepokoją, a nawet przerażają, rozwiązania, które umożliwia Ustawa 2.0.

Henryk Olszewski
holsz@amu.edu.pl

Olszewski, H. (2019). Katedra Doktryn Polityczno-Prawnych i Filozofii, [w:] *Myśląc o przyszłości nie zapominamy o przeszłości. Księga jubileuszowa. 100 lat Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*. Poznań: 103–105.

